

# *Kolumbowie* **ROCZNIK** 20



## **ROMAN** **BRATNY**

ALBATROS

Copyright © Ewa Bratny-Młynarska 2018  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Zdjęcie na okładce: Wiesław Chrzanowski „Wiesław”/MPW  
Projekt graficzny okładki: Paweł Panczakiewicz/Panczakiewicz Art. Design

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com  
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



## I

Jaskółki latały wysoko. Piłka wybita do góry przerwała cień rzucany przez parkowe drzewa, błysnęła w zachodzącym słońcu.

– Aa! – grający pokwitowali z uznaniem przyjęcie „ściętego”. Zygmunt rzucił do Kolumba przez zaciśnięte zęby:

– Dawaj jeszcze raz.

Piłka wystawiona idealnie nad siatkę. Młody opalony brunet przygotowuje się do skoku. Spóźnia się o sekundę – jakby unieruchomił go spieszny jęk policyjnego wozu nadlatujący skądś od głównej ulicy. Ale Zygmunt jest rutynowanym siatkarzem. Za późno na ścięcie? Piłka oddana miękko tuż za siatkę myli grających, dotyka ziemi. Przeciwnicy nie ruszają się.

– Trzynaście... No, przejechali. Czego się gapisz, do cholery? – gromi niższego od siebie o pół głowy Kolumba. „R” wymawia w nieporównanie zabawny sposób: to już nie „h”, ale jakieś mieszane głoski „h” i „k”. Tym razem Kolumb respektuje jego wezwanie. Odwraca głowę.

– Dawać piłkę, nasz serw – ponagla przeciwników. Ocknęli się już.

– Jakie trzynaście, uważaj! Żandarmi na was nie zapracują – rzuca któryś. – Dwanaście do dziesięciu – poprawia.

Dograli seta.

– Z ciebie też siatkarz jak z koziej dupy trąba – powiedział Zygmunt, wciągając spodnie. Zatrzymał się z paskiem w dłoni, widząc, że Kolumb patrzy za odchodzącymi kolegami. Szli w spodenkach kąpielowych, niosąc ubrania w rękach. Wisła była blisko.

– Nie idziesz z nimi?

– Nie mam czasu! – odparł Kolumb. Startł wierzchem zabrudzonej dłoni lśniąca warstwę potu z wklęsłego opalonego brzucha i sięgnął po koszulę.

Po chwili obaj szli w stronę wiaduktu.

Zygmunt studiował biologię na tajnym uniwersytecie, miał nienagannie skrojoną marynarkę i pracował w zakładach remontowych. Jego ausweis to nie był jakiś tam groszowy, fałszowany śmieć. Zdawało się, że sama „wrona” niemieckiej pieczęci siedzi dumna i zadowolona na gnieździe literowych skrótów malujących ważność przedsięwzięcia dla wojennej gospodarki Rzeszy. Nie o same papiery szło zresztą w tym wypadku. Zygmunt był mistrzem samozaopatrzenia. Liczba opon, samochodowych części, szoferskich kożuszków, jakie ginęły w zakładach, była tajemnicą nawet dla najbliższych kolegów i przyjaciół, co nie znaczy, że Zygmunt był sobkiem i egoistą. Kiedy dwa tygodnie temu, w dniu imienin wykładowcy na tajnym kursie uniwersyteckim, urządził składkę na garnitur dla profesora, suma zebranych pieniędzy wyniosła nieoczekiwanie dziesięć tysięcy złotych. Podobno ani mrugnięciem oka nie dał do zrozumienia, jak „zebrał” taką kwotę wśród okupacyjnych gołców ganiających na wykłady w drewniakach. A nowe oficerki Kolumba? Kto by uwierzył, że Zygmunt wystarał się na bezugschein o prawie darmową skórę dla kolegi. I Kolumb świecił po Żoliborzu wysokimi „szklankami”, jak nazywano usztywnioną część buta, która winna mieć wygląd czarnego, świecącego naczynka. Dziś z uwagi na upał i zakończone właśnie spotkanie siatkówki był w trepkach. Zamiast oddzwaniać energicznie krok, nogi człapią w nich nieprzyjemnie, tupoczą, jakby laźl rozczochrany jeź, a nie podchorąży.

Zygmunt szedł w milczeniu, ssąc zerwaną po drodze trawkę. Przechodzili koło muru, na którym czyjaś niewprawna ręka wypisała ogromnymi wolami: „My Hitlera w dupie mamy”. Zamiast podpisu figurował znak kotwicy.

– Bronią ojczyzny – mruknął Zygmunt. Kolumb, eksbohater Małego Sabotażu, z trudem zniósł prowokację.

– No to cześć! – pożegnał się szybko.

– Powodzenia... – mruknął Zygmunt.

Gdyby wiedział, że umówiłem się z nią u Lardellego, gotów by zakazać – pomyślał Kolumb o przyjacielu z nagłą niechęcią. Niedawno ogłoszono przecież bojkot kawiarni, w której podczas kameralnych koncertów publiczność polska mieszała się z niemieckimi oficerami i żołnierzami.

\*

Pierwszy raz się tu umówiłem i mam rację. Inaczej ona by znowu poszła kiedyś do kina – monologował jeszcze, wstępując po stopniach

kawiarni. Zielone mundury siedzących przy stolikach oficerów przejęły go dreszczem. Dopiero po chwili, na widok pasa z pistoletem przewieszonego przez poręcz krzesła, uspokoił się. Gdyby tak swój pobyt tutaj okupić nową parabelką? Złakł się nieomal, że ta myśl jest już postanowieniem. Rozglądał się uważnie w poszukiwaniu dziewczyny i czuł, że serce bije mu spieszniej. To przez ten pistolet – bronił się przed upokarzającym przypuszczeniem, że nieobecność Baški przyprawia go o tak niemęskie lęki. Znalazł wolny stół. Skrępowany i niezgrabny, odsunął krzesło. Czuł się mimo wszystko fatalnie. Spojrzał na zegarek. Był spóźniony o dziesięć minut.

Może już poszła? – zaniepokoił się. Wojowała z nim o tego Lardellego od miesiąca, przypuszczenie, że mogła wyjść, nie doczekawszy się, było absurdalne. Niedawno, kiedy wygadała mu się, że była w kinie, nie widywali się przez tydzień.

– To ja jako zupełny szczeniak wypisywałem „tylko świnię...”, to ja „gazowałem”, a ty... – płatał się po tym jej wyznaniu.

I choć to nie on wymyślił slogan „Tylko świnię siedzą w kinie” i nie on rozpiął go wszędzie na warszawskich murach, ale kto przy wejściu do kina Napoleon, obok napisu, potrafił naszkicować dwa ogromne knury rozwalone w kinowych fotelach? Kto wymyślił inny, może mniej popularny, lecz nie mniej groźny skrót „Padlina idzie do kina”? Kto ma na koncie dziesięć udanych „gazowań”, w czasie których „zakrzusił” ładnych parę tysięcy amatorów zakazanej rozrywki?

Przypomniawszy sobie doświadczenie prowadzące do wykrycia mieszkanki, której zapalenie powodowało murowany popłoch na kinowej sali, a zaduch korkował ją na parę dni.

Rozjuszyło go ostatecznie wytłumaczenie, jakiego chwycił się Basik: Chodzi do kina również po to, żeby zobaczyć „gazowanie”. Ona też chce być w pobliżu roboty. Kolumb nie pozwala jej samej, to chociaż tak – zobaczy... Zaraz zresztą, nastraszona, dopowiedziała tym swoim niskim głosem (stąd imię Basik, od „bas”), że mniejsza o „gazowanie”, ale ona nie ma zamiaru umrzeć, nie widząc kina.

– Ona umrzeć! – Zaśmiał się gorzko, podkreślając, komu to bliżej do śmierci, ale nie wywołał pożądanego efektu.

Zerwał z nią wtedy, „do zmadrzenia”. „Zerwał”! Może ona domyślała się, skąd te częste omyłki telefoniczne, przy których jej „halo” pozostawało bez odpowiedzi. Jak on ją lubił, nawet ten jej głos! Dzwonił prawie co dzień, byle usłyszeć chociaż to „halo”. Któregoś dnia zamiast „halo” zapytała po swojemu: „No?...” – jakby dając do zrozumienia, że wie, kto to dzwoni i milczy z tamtej strony słuchawki. Otworzył usta,

żeby rzucić pozdrowienie, i w ostatniej sekundzie złapał zębami koniec bakelitowej tubki. Wytrzymał tydzień. Na spotkaniu Basik się popłakał i przyrzekł, że z kinem to się już nigdy nie powtórzy. Wtedy nastąpiło załamanie Kolumba. Wiedział, jak kocha muzykę, więc zaprosił ją „w drodze wyjątku, raz na całą okupację”, do Lardellego. Oto siedzi, zerkając niespokojnie na drzwi, na jadownicze zielenie mundurów utkane tu i tam wśród licznych stolików.

Już jest. Stała w progu. Spostrzegła go od razu. Idzie w tym tłoku prosto, zręcznie, jakby całe życie spędziła na takich okazjach. Zrywają się oklaski. Kolumb jest spocony. Wszystko zdaje się być adresowane do niej. Dopiero gdy przycupnęła na brzeжку krzesła i sama złożyła do okłasków dłonie, spostrzegł, że publiczność wita dyrygenta, który właśnie pojawił się za jego plecami. Kolumb, choć nastawiony sceptycznie, spojrział z mimowolnym szacunkiem na mężczyznę z lwią grzywą. Dyrygent, korzystając ze swej ukraińskiej listy narodowościowej, reprezentował niemal monopol na wykonywanie muzyki poważnej.

Baśka przysiadła na brzeжку krzesła, trochę po pensjonarsku, ale jedno spojrzenie po sali i postawa jej zmieniła się. Naprzeciw Kolumba siedzi już dama. A to paskudna smarkata! – gromi ją w myślach Kolumb, ale odczuwa miłą satysfakcję, jakby dopiero teraz przekonywał się, jak wygląda naprawdę ta jego dziewczyna. Widzi spojrzenia od sąsiednich stolików.

– Spóźniłaś się. Było co? – zapytał jeszcze, nim orkiestra zaczęła grać.

Wahała się przez sekundę, czy nie skorzystać z okazji i nie usprawiedliwić się jakąś łapanką lub bałaganem na trasie, ale pokręciła przecząco głową.

– Spóźniłam się zwyczajnie – rzuciła z przekornym męstwem.

Przyjął to z radością, jak podziękowanie za długie godziny, podczas których przeżywała go mściwie harcerzem, a w których on uczył ją poszanowania dla własnego słowa.

Uderzyła muzyka. Kolumb na początku wojny miał szesnaście lat. Muzyki uczył się do dwunastego roku życia, ale potem, poznawszy urok boiska, stwierdził, „że będzie grał na centrze, nie na fortepianie”, i tak długo i uparcie strajkował, aż oberwał pierwsze w życiu lanie od spokojnego zazwyczaj ojca. Mimo to zwyciężył. Sądził, że muzyka nic go nie obchodzi. Przyszedł tu dla Baśki, i oto całkiem niespodzianie zabrały go gdzieś ogromne fale dźwięków. Zapomniał, gdzie jest. W pewnej chwili napotkał jej spojrzenie i już w nim pozostał. Potem odczuł nagle strach przed upływem czasu. To, co niekiedy prześladowało go myślą, że



z każdym dniem zbliża się do daty swej śmierci, która mogła już być tu, na sąsiedniej ulicy, teraz odezwało się jeszcze boleśniejszym poczuciem przemijania. Prawie słyszał plusk czasu w strunach, kotłach.

Przerwali. Oklaski otrzeźwiły Kolumba. W rozjaśnionym świetle dostrzegł nad brwią Baśki małeńkie znamię. Była to blizna nabyta w dzieciństwie. Zachwycił się i tym.

– Musisz przyjść do mnie jutro – postanowił lekko. Niezdarnie wypowiedział myśl, z którą nosił się od miesiąca, jeszcze przed ich tygodniowym zerwaniem o kino.

– A która jest teraz? – zainteresowała się godzina. W odpowiedzi zablagował kwadrans. Ale ona była czujna. Za chwilę wyciągnęła rękę do jego zegarka. Schował dłoń za plecy, a następnie uderzył nagle wierzchem nadgarstka o marmurowy blat stolika. Szkiełko zegarka stuknęło.

– Co robisz?

– Niszczyć czas...

Szkiełko musiało kosztować ze dwieście złotych – myślała zdumiona. A jak to się stawało przez ten tydzień. O głupie kino. Pewnie, że może zrezygnować z kina. Na razie nic nadzwyczajnego nie idzie.

Następnego utworu słuchała z pewnym roztargnieniem. W przerwie sięgnęła nawet przez stolik i odsunęła rękaw marynarki na przegubie Kolumba. Martwa tarcza ze stłuczonym szkłem. Zawstydzona czymś i spłoszona, cofnęła rękę.

Gdy wychodzili, nad miastem był mrok. W zaułku kościoła przy placu Zbawiciela żebraczka, zajęta bilansowaniem uzbieranego zarobku, spłoszyła się na ich widok i zbyt późno podjęła prośbne pomruki. Podjeżdżał zaciemniony tramwaj. Dziewczyna porwała się do biegu.

– Gazu, Basiku! – Skorzystał z okazji i uchwycił ją za rękę. Zdyszani dopadli przystanku. Wskoczyli, gdy tramwaj ruszył. Konduktor sprawnie wręczył Kolumbowi dwa bilety odebrane przed chwilą od wysiadających i strzepnąwszy bilon do torby, usiadł. W wagonie było luźno. Jakaś spiesząca do domu szmuglerka z koshami, stary pan w cwikierze wyglądający na wykładowcę wracającego z tajnych kompletów. Nawet tam, u nich, u „sezonowców”, w przedniej części wozu, było pustawo.

– Cholera, musi być późno – zaniepokoił się Kolumb.

– Która godzina? – denerwowała się Baśka.

– Za dziesięć – odrzekł pan w cwikierze.

– Oj, żebyś zdążył. Ze mną nie wysiadaj. Bez odprowadzań – zamruczała Baśka, wyskakując. Tramwaj skręcał do zajezdni. W sekundę Kolumb był już na ulicy. Lubił wysiadać w pełnym biegu. „To zastępuje narty” – wytłumaczył kiedyś matce. Popędzany krokami ostatnich

przechodniów, ruszył spieszenie przed siebie. Naddciągała powszednia okupacyjna noc. Trzasnęła jakaś zamykana brama. Z ulgą wszedł na pusty, niezabudowany odcinek drogi prowadzący ku wiaduktowi. Gdzieś od strony dworca zaniósł lokomotywa, raz, drugi. Szedł uważnie, patrząc, czy nie spotka wzrokiem sylwetek patrolu. Odczuwał podniecenie, nierówne w stopniu natężenia, ale podobne do tego, którego zaznawał już od dwóch lat w Małym Sabotażu, jako wybitny specjalista od napisów i znaków Polski Walczącej na murach. Równocześnie czuł smak triumfu. Basik. Jutro przyjdzie do niego.

Chciał coś zawołać w górę ku spokojnym gwiazdom. Podchodził już do pierwszych bloków. Nagle przez jezdnię przebiegł w poprzek... tak, nie było wątpliwości: kot. Kolumb rozglądał się przez chwilę i zawrócił biegiem. Skręcił w boczną uliczkę. Tędy z wolna, wyglądając ostrożnie zza rogów, zbliżył się do tyłów ogromnego gmachu, w którym mieszkał. Miał właśnie przejść na drugą stronę ulicy, gdy nagle oświetlił ją snop reflektorów. Kolumb cofnął się pod mur. Na jego oczach przez wysoką ogrodową bramkę na dziedziniec domu, w którym mieszkał, wjechała żandarmśka buda.

\*

Po kwadransie zadzwonił do drzwi stojącej na uboczu kamieniczki.

Mimo że dzwonek nacisnął krótko trzy razy – umówionym sygnałem – drzwi otwarto dopiero po chwili i nie otworzył ich Zygmunt.

– Do cholery, czego straszysz ludzi! – zaczął, gdy ściągnięto go już ze starego gołębnika, który latem spełniał funkcję bimbrowni, a poza tym znakomicie ułatwiał zejście do zarośniętego ogrodu. Całą tę budowlę skonstruował Zygmunt pod domem, by usprawnić odwrót w nagłej potrzebie. Teraz urwał w pół zdania, spojrzawszy na twarz kolegi.

– Coś u ciebie?

– Nie wiem – powiedział powoli Kolumb. – Siostra dziś nie nocuje w domu, ale starzy... No, buda w podwórzu...

– Tam na jednej tylko twojej klatce schodowej masz dziewięć mieszkań – pocieszał nerwowo Zygmunt, dowiedziawszy się, jak niewiele wie Kolumb. – Co się mogło stać?... U nas porządek, nikt nie siedzi... – Wziął go za rękę i wprowadził do swego pokoju.

Kolumb wyrwał rękę, jakby czymś obrażony. Przestraszył się, że kolega wyczuje jej drżenie. Nie mógł wobec Zygmunta motywować swej pewności, że ojciec i matka zginęli. Nie mógł mu powiedzieć, skąd czerpie tę pewność. O tym nikt nie mógł wiedzieć. Usiadł na tapczanie i cierpliwie



zaczął liczyć powtarzający się idiotycznie motyw gałązki na tapecie. Spojrzał na zegarek i nagle bezwiednie uśmiechnął się. Bezruchowi jego wskazówek zawdzięczał spóźnienie, a więc dużo, bo życie.

## II

Po kilkakrotnych nieudanych próbach Jerzy zrezygnował. Z handlu nic nie wychodziło. Diabli wiedzą czemu.

– Pewno jeszcze za słabo stoisz z ekonomią – zażartowała matka po ostatniej klęsce szmuglerskiej syna. Potrafił ocenić jej wysiłek. Była nieskora do uśmiechu. Chciała zbagatelizować porażkę. Strata wypchanej mięsem walizy na dworcu w Dęblinie stanowiła kompletną ruinę domowych nadziei. Śmieszne, jak nie powodziło się Jerzemu w dziedzinie gospodarczej. A mógł rozwinąć drukowane na grubym papierze świadectwo ukończonych w Warszawie w 1940 roku Kursów Handlowych Gracjana Pyrka, jedynej „wyższej uczelni” w Warszawie. Nie ruszyły wówczas jeszcze podziemne uniwersytety. „Ekonomista” i „filozof” z odczytania, „handlowiec” z zawodu, a tu grosza nie umie ściągnąć do domu. Rok czterdziesty „przeczytał”, żyjąc z jakichś resztek matczynych. Ale teraz od kilku miesięcy szarpał się już jak w matni. Nie wychodziło...

Tego dnia, po powrocie ze szlaku złamanej kariery „szmuglerskiej”, zjadł na kolację kilka kartofli okraszonych uśmiechem i pocieszającym komentarzem, że „młode i tak smaczne”, i położył się do łóżka. Spod wółprzymkniętych powiek widział, że matka, krzątając się za uchylonymi drzwiami kuchni, podtrzymuje ogień. Co ona jeszcze szykuje? – zamyślił się, głodny i senny. Niby na jawie przeżywał okropny tłok kolejowego wagonu, triumf szczęśliwej transakcji za Łukowem, makabrę ćwiartowania krowiego zewłoku, moment, gdy po zatrzymaniu pociągu, zamiast uciekać na żandarmski wrzask, wyleciał z wagonu jak spętany przez swoją walizę. Przeklęty Dęblin. Gołocin – przypieczętował złe wspomnienie uzasadnioną szmuglerską nazwą. Widział jeszcze światło w kuchni, myślał o matce. Trzeba zawołać, niech idzie spać, co ona tam robi? Wreszcie zasnął.

Gdy rano otworzył oczy, natrafił spojrzeniem na uchylone drzwi do kuchni. Matka płakała nad formą wypełnioną jakąś brunatną masą.

– Chciałam chleb... chciałam ci chleb, ale ta mąka przerośnięta... – Uderzała się małymi piąstkami po głowie.

Zdażył ją złapać, uważnie kontrolując spojrzeniem, czy na stole

leżą tylko noże z okrągłymi końcami. Coraz gorzej znosiła wszystko, co składało się na życie w owym roku.

– Już na wiosnę będę lepsza – usprawiedliwiała się przed paru miesiącami, gdy złapał ją na tym, jak nad zamrożoną miednicą wody usiłowała przeciąć sobie żyły. Pokaleczyła się tylko, tak samo niedołążna jak przy swoich normalnych gospodarskich zajęciach, wychuchana przez los, a teraz tak opuszczona, odkąd ojciec Jerzego, przed wojną świetnie zarabiający architekt, siedział w niewoli.

– Przecież doskonały chleb. – Popukał w ciemną powierzchnię, ale nawet zgięty pod nieostрым kątem palec zanurzył się swobodnie w kleistej masie. – Świetny – ciągnął, trzymając matkę za ramiona, i by ją zabawić, sięgnął po łyżkę.

Patrzyła podejrzliwie przez łyż, jak połykał pierwszą porcję.

– Wcale nie żartuję... – dorzucił szczerze, puszcżając ją, by przysunąć bliżej formę.

– Zaszkodzi – zaoponowała nieśmiało, już uśmiecżając się przez łyż, jak mała dziewczynka, która zbroiła i choć wie, że była niegrzeczna, nie chce przeprosić.

– E tam, zaszkodzi! Komu „dźwiękowiec” nie zaszkodził, tego nie zmoże. – Użył komplementującego porównania do kartkowego chleba. – Ja wezmę tę lekcję, a mój pokój wynajmiemy... – ustalał stanowczo podstawy przyszłej egzystencji.

Nie wiedział, czy w pełni pojmowała, czemu tak się przed tym bronił. Był ambitny. Ambicja dyktowała wszystko, nawet w obecnym jego życiu.

„Nie pali” – matka chwaliła się przed znajomymi wyrzekającymi na wydatki u swoich na tytoń. A on nie nauczył się palić, bo widząc śmieszość gimnazjalnych kolegów, szukających w papierosie znamion dojrzałej powagi, próbował znaleźć ją w świadomej decyzji, że on właśnie nie pali.

„Został...” – mówiła z dumą zimą trzydziestego dziewiątego roku, gdy tyłu jego kolegów z harcerstwa ruszyło w Karpaty i dalej przez Rumunię na Zachód. Nie ruszył się nie tylko dlatego, że zostałyby sama; został, bo widział przygodową pozę tych, którzy szli, bo rozumiał, że tu będzie trudniej i „ważniej”.

I dlatego właśnie takim upokorzeniem było przyznanie się, że czegoś nie potrafi. „Pech” – próbował usprawiedliwiać się z początku. Nie potrafił „zrobić” potrzebnych pieniędzy. Teraz ambicją najwyższą było pokonać własny upór, zrezygnować chwilowo z ambicji, byle zdobyć pieniądze na nowy start. Oferta nauczycielska przyszła przed tygodniem od sąsiadów z przeciwka. Mieszkali tam od pół roku państwo Kosiorowie. On,

dotychczas rzeźnik, od jesieni czterdziestego roku stał się potężnym przemysłowcem głodzonego miasta. Był właścicielem czy udziałowcem fabryczki sztucznego miodu, prowadził rozgałęziony handel tłuszczami przejmowanymi z jakichś oficjalnych źródeł.

Jerzy, postanowiwszy, że zrozumie, co się koło niego dzieje, przeczytał przez rok blisko sto ekonomicznych publikacji, jak szły, co wpadało w rękę, i samorzutnie dokonał już kierunkowej selekcji, wybierając orientację, której nie nazywał marksizmem, tylko przez skrępowanie ubóstwem własnej wiedzy czy przez brak obycia z samym terminem. Teraz na każdego konduktora, który prowadził istną drogerię, handlując mydełkami w tłumie podróżujących, patrzył jak na agenta „monopolistycznego kapitału”, dowiedział się bowiem, że Kosiorek, podbierając przez swoje kontakty surowce Schichta, prowadzi produkcję mydła na gigantyczną skalę.

Stąd czy skądinąd pochodzące pieniądze skamieniały oto w kształt domu sąsiadującego z ich willą.

– Chodźmy zaraz – przynaglał matkę. Jak Julian Sorel, pocieszał się w myślach, ustaliwszy warunki swej pracy. Gdy jego chlebodawca jednym obojętnym skinieniem głowy zgodził się na wymienioną przez Jerzego sumę, chłopak przybladł z obrazy. Więc tak mało znaczyły dla tamtego pieniądze, za które kupował jego czas?

– A pan miał, zdaje się, inne plany? – Kosiorek się uśmiechnął. – Jakiś handel? – zapytywał pobłaźliwie, jak dobry ojciec prowokujący wyznania syna, zabawne, bo zbyt dojrzałe na jego wiek i możliwości umysłowe.

– Zrezygnowałem – bąknął Jerzy i jak zawsze poniosła go chęć odpłacenia za lekceważenie. – Miałem handlować, ale brzydzę się mięsem – powiedział tonem zwierzenia, patrząc z uśmiechem w oblicze eksrzeźnika.

Wywołał efekt niespodziewany. Pan Kosiorek plasnął otwartymi dłońmi po rozstawionych kolanach, obciągniętych eleganckim, niechybnie angielskim kortem, i pod wysokim sufitem rozległ się jego donośny śmiech. Ten nieprzewidziany efekt własnej złośliwości speszzył młodego nauczyciela.

– A co do mnie, nic mnie nie zbrzydzi.

I potoczyła się opowieść, jak to Kosiorek zmuszony w trzydziestym dziewiątym roku prowadzić ubój dla zwycięskiej niemieckiej armii, potrafił dać jej godną nauczkę.

Zdarzyło się, że któregoś z kwatermistrzów odbierających mięso zemdlił zapach krwi. Na dumne zdanie Kosiorka, że „polskiego rzeźnika nic nie zbrzydzi”, towarzyszący delikatnisiowi feldfebel ośmielił się

wyrazić wątpliwość. Stanął zakład, w rezultacie którego Kosiorek na oczach Niemców skosztował zawartości świeżo otworzonego krowiego żołądka.

– Tak. Wziąłem w paluszki jak baby w sklepiu kiszoną kapustę z beczki do spróbowania... Z samego patrzenia trzech ich się pochorowało, a mnie nic... – Uśmiechnął się triumfująco, wpierając zad w elegancki klubowy fotel. Błyszczące oczy wbił w Jerzego i nagle zakończył półgłoso, pochylając się w jego stronę: – Więc i rzeźnictwa nie ma się co wstydzić...

Następnie przedstawiono Jerzemu uczniów. Jedenastoletnia dziewczynka dygnęła, jej starszy o rok brat szurnął nogą. Jerzy objął nowe obowiazki.

Odprowadził matkę do furtki i powiedziawszy, że ma coś do załatwienia w mieście, ruszył w stronę Puławskiej.

Skoro mam od jutra regularnie zarabiać, rzecz przestaje być szaleństwem, rozmyślał nad nabyciem tomu Nietzschego, który przed paru dniami wyszperał na Mazowieckiej i uciekł od pokusy. Dochodząc do rogu ulicy, spostrzegł, że rusza tramwaj stojący na pętli krańcowego przystanku. Przed nim zatupotał, podrywając się do biegu wysoki, smukły żołnierz SS. Jerzy, biegnąc za nim, z przyjemnością obserwował jego zgrabną sylwetkę. Niemiec wskoczył na stopień, nie chwytając się poręczy. Jerzy uśmiechnął się. Był o dziesięć metrów za tamtym i identyczny skok przestawał być identyczny wobec większej już szybkości tramwaju.

Zadrobił po nierównym bruku. Skoczył. Bez rąk. Na pomoście, patrząc, jak tamten przechodzi za odgradzającą Polaków barierkę, z przyjemnością odbierał i amortyzował ugięciem w kolanach zryw gnającego tramwaju. Nagle jego wzrok padł na jakiś tytuł w gazecie, którą ktoś rozpostartą trzymał obok. „Najwyższy szczyt Kaukazu...” – wyłuskał z komunikatu alpinistyczny sens wieści o hitlerowskiej fładze nad Elbrusem i spojrzał raz jeszcze na barczystego, zgrabnego esesmana. Idiotyczne współzawodnictwo w ściganiu tramwaju podrażniło go boleśnie. Przegrada *Nur für Deutsche* oddzielała ostrzej niż przed chwilą. Tramwaj zahamował gwałtownie. Jakiś stojący obok Jerzego robotnik polecał siłą bezwładu krok do przodu, trącąc go podeszwą drewniaka. „Jesteśmy mierzwą” – przeleciało przez głowę czyjeś zdanie. „Oto nasz udział w walce z tymi, co zdobywają najwyższe szczyty świata” – pokwitował wzrokiem żółwia narysowanego kredą na murze kościoła Zbawiciela.

Pomyślał, że wieczorem znowu przesunie na mapie czarne chorągiewki, którymi znaczył zasięg ich armii na Wschodzie. Rozchmurzył się dopiero,

przechodząc przez Świętokrzyską. Otwarte drzwi antykwariatów, małe księgarenki zapraszały go nieuchwytnym zapachem druku, jak pijaka barowe szyldy. Szedł jednak w kierunku Mazowieckiej jak smakosz, który zdążając do znanej sobie restauracyjki, mija obojętnie nęcące napisy. Tam czeka na niego wybrany tom.

Był prawie u celu, gdy zatrzymało go czyjeś wołanie. Obejrzał się. W poprzek jezdni szedł ku niemu z drugiej strony ulicy Zygmunt. Był elegancki właśnie na miarę dziwnego lata. Długa marynarka sięgała do pół uda. Mimo upału szedł w wysokich butach i zielonych wojskowych bryczesach. Było w tym coś w rodzaju czytelnej aluzji do wojskowego drylu, który zmusza do noszenia – lato nie lato – niewygodnego munduru. Szyk konspiracyjny nakazywał, Zygmunt oczywiście słuchał. Jerzy, nie wiedzieć czemu, przypominał sobie pierwszy pomaturalny kapelusz kolegi. Było to zimowe staroświeckie borsalino, zapewne dar z zasobów ojca. Choć koledzy bardzo z niego kpili, Zygmunt uśmiechał się lekceważąco, błyskiem zębów zniewalając spojrzenia przechodzących kobiet. Wtedy zachowywał większy dystans wobec dyktatu mody niż w trzecim roku okupacji.

Zygmunt miał zresztą własną na ten temat teorię.

– Bo widzisz – powiedział kiedyś – moda to jest też wyzwanie: czy skoczysz wyżej, niż z pozoru można. Zobacz. Kiedy są materiały, tylko wejść i kupić, moda nic, siedzi cicho, kroi kuso. A jak tylko wojna, fabryki w drobny mak, materiałów nie ma, zaraz marynarka jedzie w dół. Jak u Darwina: dobór naturalny, bracie. Moda jest taka, że utrzymuje na kursie tylko okazy silne...

– Co u ciebie? – zapytał teraz kolegę.

– A ty kwitniesz – nie odpowiedział na pytanie Jerzy.

– Bida, co? I niezależność umysłu, co? Czy może już? – Zygmunt jowialnie i niecierpliwie wypytywał o życie i „idee”. W ostatniej ich rozmowie, pół roku temu, Jerzy dał się ponieść: po wykpieniu polemisty, że koncepcja jego polega na cofnięciu czasu do sierpnia trzydziestego dziewiątego roku, zadeklarował swoje „anarchistyczne”, jak określił Zygmunt, stanowisko wobec „Londynu”, *ergo* i konspiracji. Owo „już” oznaczało teraz pytanie, czy ostatnie półrocze zdążyło go, wbrew tamtej rozmowie, zaszeregować w podziemi. Zygmunt nie wątpił, że środkowy napastnik szkolnej drużyny futbolowej ma tam jakieś swoje miejsce wyznaczone przez „logikę historii”, jak tamten sam się wyrażał, wciąż pełen oporów i wahań.

– Na jakich papierach chodzisz? – dopytywał się za chwilę, dowiedziawszy się, że „jeszcze nie”.

– Mam, mam – Jerzy wzruszeniem ramion dał do poznania, że nie jest ofertą pozbawioną kontaktów.

– Pokaż no arbeitskartę – zażądał Zygmunt nieustępliwie jak żandarm na patrolu. Stali na środku chodnika, wymijani przez częstych przechodniów. Rzuciwszy okiem na dokumenty, Zygmunt ramieniem zaprosił kolegę do bramy.

– Dafeś górala, co? – zapytał tym razem serio. „R” zawarczało groźnie w rejonach „h”. – I z tym głównem chodzisz po ulicy? Ja bym, bracie, takiemu synowi, co to fabrykuje, dał z miejsca w czapę. Ludzi naraża – parsknął pogardliwie, machając pomarańczową tekturką dowodu. – Umówisz się ze mną, przyniosę ci coś lepszego. – Wzruszył litosiernie ramionami. – A teraz dokąd, co?

Nagle filozoficzny sprawunek księgarski wydał się Jerzemu śmieszny i dziecinny. Bąknął coś o jakimś koledze, do którego właśnie się wybiera.

– Mieszkasz po staremu na tym dolnym Mokotowie? – Ledwo Jerzy skinął głową, już Zygmunt trzymał go za guzik marynarki. – A nie znalazłbyś tam w okolicy jakiego pokoju do wynajęcia, co? Chodzi o czyjaś rodzinę. Matka z córką. Wdowa. No?

– To ktoś od was? – zapytał Jerzy i szybko dodał: – Bo jeżeli tak, to coś znajdę u siebie. Tam, gdzie mieszkam.

– To może by zaraz? – Zygmunt spojrzał pytająco, nie dając poznać po sobie radości.

### III

Każdy wiedział, kiedy się zaczynała godzina policyjna. Ta granica była wyraźna. Ale kiedy się kończyła? Noc oznaczała nie jak dawniej ciemność i sen, lecz przede wszystkim porę, kiedy brali. Wówczas, latem, trwała dłużej: pisk opon hamującego samochodu straszył jeszcze przy pełnym świetle wschodzącego słońca. Mieszkańcy wylotowych ulic Warszawy, lokatorzy frontowych pokoi Puławskiej czy Grójeckiej, otrzymywali pierwsi sygnał końca tej jasnej nocy: szum przelatujących maszyn przestawał być groźny z chwilą, gdy na jezdni zaklekotały końskie kopyta. To ciągnęły furmanki badyłarzy – był dzień. Człapanie kopyt po asfalcie było sygnałem polskiego życia i ruchu. Bo inny, zmechanizowany, a jednak swojski ruch na jezdni zaczynał się później. O tej porze rykszarze spali.

Jeszcze przed rokiem Baśka najdokładniej znała ową granicę, do której trwały godziny nocy. Zazwyczaj broniła jeszcze snu. Słyszac



krzątaniej matki, obracała się do ściany, wgrzebywała głowę w poduszki, trwała w obronnej nieruchomości: doświadczyła, że najczęściej zapewnia ona przetrwanie. Matka sama biegła przyjmować towar od furmanów.

Przed rokiem mniej więcej obyczaje handlowe zmieniły się gruntownie. Towar stał się abstrakcją rentującą stokroć lepiej niż przyziemna materialność. Opustoszały sklep stał się rodzajem kawiarni, miejscem spotkań, pertraktacji. Otwierano go o dziewiątej, zawsze robiła to matka.

Dziś jednak Baśka zerwała się rano. Gnał ją jakiś niepokój. Koło południa obiecała zajść do Kolumba.

Co wielkiego? – bagatelizowała w myślach treść. Zwyczajnie się spotkamy zamiast w kawiarni, tłumaczyła się obłudnie sama przed sobą, pamiętając dobrze intencję swej obietnicy. Zamyślona poszła w stronę sklepu. Zadzwoń. Powie, żeby przyszedł do niej.

Matka pertraktowała z jakimś umorusanym woźnicą. Wóz „zarobionego” gdzieś po nocy węgla stał przed bramą.

– Coś pan oszalał, taka cena! Z czym pan do mnie przychodzi? Dam dwa – ucięła krótko. – I zsypanie pan nie tutaj – dobijała targu. – Zaraz skoczę po pieniądze...

Weszła do sklepu. Szybko nakręcała numer telefonu.

– Pani Ada? Mam. Udało mi się wybrać. Trochę drogo, ale za to piękny orzech i z dostawą natychmiast. Trzy. Trzy tysiące. Tak. Zaraz wysyłam.

Spieszenie obliczyła górale, złapała torbę.

– Zostań w sklepie, zaraz wrócę. Ma przyjść Koliński – wymieniła nazwisko któregoś ze swoich stałych klientów.

Baśka ostrożnie podeszła do telefonu. Nie ma co, zadzwonię. Niech nie będzie taki pewny. Przedłużający się sygnał niespodziewanie ją zaniepokoił. Miał czekać na nią od rana. Powiedział, że nie będzie nigdzie wychodził. Spojrzała na zegarek: za pół godziny powinna być u niego. Sygnał brzęczał przeraźliwie. Nikt nie podnosił słuchawki.

\*

– Co ta baba wyprawia? Chyba całe miasto sprzedaje przez telefon – złościł się w tym czasie Kolumb na jej matkę, stojąc ze słuchawką przy uchu w sklepie z materiałami piśmiennymi, którego załoga trudniła się sprzedażą wojskowych konserw przejmowanych z bocznic na Dworcu Gdańskim. Tego dnia szczególnego bałaganu narobił transport kilkudziesięciu koców, które należało co rychlej upłynnić. Kolumba co chwilę spotykały

nienawistne spojrzenia czekających na telefon gospodarzy, on zaś kręcił i kręcił. Numer Baški był wciąż zajęty. Wprawdzie Zygmunt twierdził, że Kolumbowa chałupa jest po prostu zapieczętowana i nie ma żadnego kotła, ale Kolumb nie mógł dopuścić, by dziewczyna tam poszła. Nie miał czasu jechać do niej ani czekać na ulicy, w momencie gdy trzeba zająć się siostrą i matką, które ocalały w czasie gestapowskiego nalotu „na kumoszkach”, piętro niżej.

– Jesteś, Basiku! Umówmy się w innym miejscu. Nic się nie stało... Opowiem... Jaki mam głos? Zwyczajny...

Kończył zdanie, gdy Zygmunt stanął w progu.

– Bracie, dosyć flirtów. Chodź, twój stary czeka...

– Co?!... – Kolumb odłożył słuchawkę, na którą spadł jak sęp kierownik sklepu.

– Twój stary siedzi u mnie, czeka...

– Ojciec? – pytał Kolumb, łapiąc oddech.

W mieszkaniu, które do wczoraj zajmowali, wychodzący na podwórze balkon przedzielony był cienką przegródką. Obok mieszkała żona kapitana siedzącego od września w niewoli. Kiedyś w obecności ojca Kolumb przekomarzał się z fertyczną kobietką, że w nocy wejdzie do niej przez balkon.

– Nie wpuszczę...

– A jeśli będę musiał wiać, na przykład przed aresztowaniem, chyba pani otworzy?

Dziwne były wówczas prawa ludzkiej pamięci, jeśli rzucone mimochodem zdanie syna zagrało w umyśle pięćdziesięcioletniego adwokata w chwili, gdy usłyszał łomotanie do drzwi. Przesiedział u sąsiadki przez noc i rano, potem jeszcze do południa, bojąc się wyjść na ulicę.

– A ja, cholera, na nowym mieszkaniu przedstawiłem już twoją matkę jako wdowę i papiery dostała autentyczne wdowie... – gderał Zygmunt, nie mogąc nadążyć za Kolumbem.

\*

Po godzinie, zostawiwszy ojca u Zygmunta, Kolumb pognął na umówione miejsce spotkania z Basikiem. Dziewczyna siedziała w kącie pustawej o tej porze cukierni Marlena.

– Dla pana? – zapytała, nie czekając, jakaś harda hrabina podająca w tym lokalu.

– Dla mnie? Lokal dwupokojowy, a na razie kawę... – zażartował

Kolumb z rzadką u niego swobodą. Pani, odczytując w owym „lokalu” jakąś miłą aluzję, uśmiechnęła się przyzwalająco i odeszła. Chłopaka rozsadzała radość.

– Basiku, na nic spotkanie, zepsuli nam... – zaczął. Śmiał się, potrząsając przed rozszerzonymi oczami Baški zegarkiem. – Uratowałeś mi życie...

Śmiał się, że matka została już przedstawiona gospodarzom nowego mieszkania jako wdowa, a ojciec jest, żyje. Zapytała cicho:

– Słuchaj, a co właściwie? Przez kogo? Jak się „spaliło” mieszkanie? Lubiła używać zbliżającego ją do nich słownika.

Kolumb zamilkł nagle i odwrócił oczy.

– Nie wiem... Nie wiadomo – poprawił się, jakby akcentując, że nie jego, tylko niewiedzy rzecz dotyczy, że interesuje organizację. Kłamał. Ale jakże miał jej powiedzieć prawdę?

– A co będzie z nami? – spytała ona nagle.

– Z nami?

– No, z mieszkaniem – mówiła gniewnie ze zmarszczonymi brwiami. Świadomość tego, że tylko przypadkowi zawdzięcza, że go tu widzi, otwarła w niej wszystkie utajone uczucia. Jak mogłam dziś rano myśleć, że do niego nie pójde? – rozpaczła w myślach nad sobą, jakby i tak nie czekały tam na nią zapieczętowane drzwi. – No – ponagliła bezwstydnie.

Złapał jej rękę na blacie stolika. Normalnie nie lubiła takich „kawiarnianych czułości”, jak mawiała. Dziś Stach nie puścił jej ręki, nawet gdy zjawiła się hrabina z kawą i z hałaśliwą niedbałością ulokowała szklankę obok ich splecionych dłoni. Kiedy opisywał, jak ocalił się ojciec, Baška ożywiła się. Spytała o jakiś balkonowy szczegół. Nagle wyswobodziła rękę, odsunęła z czoła czarny kosmyk i patrząc na chłopca spod zmrużonych powiek, powiedziała wolno:

– No, to dziś moglibyśmy się spotkać...

– Spotkaliśmy się przecież.

Wzruszyła ramionami.

– Mówię o poważnym spotkaniu. – Przyjęła jego wzrok.

– Możemy przecież pójść na noc do mego mieszkania. Jest zapieczętowane, nikt nam nie będzie przeszkadzał – zażartował Kolumb, upokorzony właściwie.

– Aha, przez ten balkon? – spytała rzeczowo.

– To niemożliwe... – przeraził się Kolumb. – Ona – mówił o sąsiadce – nie przepuści nas przez swoje mieszkanie...

Nagle pomyślał, że może Baška tylko nieubłaganie egzaminuje jego uczucia.

– Basik, chcesz, żebym strzelił w mordę tego oficera? – Pokazał oczami stolik w kącie sali. – Chcesz? To wyjdź, stań z drugiej strony w bramie, będziesz widziała przez szybę... No? – Poważnie ofiarowywał jej hold z własnej odwagi.

– Też mi adoracja! – Wydęła wargi i obejrzawszy się na stolik w kącie, nagle parsknęła śmiechem na cały lokal, aż szczupły oficer Wehrmachtu poderwał głowę. Zamilkła nagle i sama sięgnęła po rękę Kolumba. Byli oboje zmęczeni jak po fizycznym wybuchu czułości. Na szybach kawiarni pojawiły się cętki deszczu.

– Piegowata pogoda. Czemu nie wzięłaś płaszcza? – zatroszczyła się naraz serio.

– Nie mam... Nic nie mam. – Wzruszył ramionami z uśmiechem. Poza tym miał wszystko. Żył.

\*

W pokoju Zygmunta ojciec Kolumba, który w nocy nie zmrzął oka, pochrapywał na tapczanie. Zygmunt zżymał się, że jego opóźnione przybycie wszystko skomplikowało.

– Tam na Mokotowie nie można nic zmienić. Jeszcze Jurek... głupstwo, swój, choć dziwny, ale jego matka... Nie zdążyłem od nich wyjść, już opowiedziała sąsiadce, że ma lokatorów: wdowę z córką. I żeby chociaż było wiadomo, skąd ta wsypa i o co właściwie idzie. – Spojrzał uważnie na kolegę. Kolumb odwrócił oczy i strzepnął niecierpliwie palcami. – Tak czy tak, musisz zmienić dzielnicę. Pójdiesz do matki i siostry. To się da jeszcze wytłumaczyć, ale mąż się do zmartwychwstania nie nadaje...

– Dzielnicę zmienię, ale nie będę mieszkał razem z nimi – mruknął Kolumb. Ma chyba człowiek prawo do własnej, sensownej śmierci, buntował się w myślach. – Dla starego już coś wymyśliłem – mruknął głośno – a dla siebie znajduję... Jeśli u ciebie niewygodnie, to mogę zanocować w moim mieszkaniu.

– Co? – zdębiał Zygmunt.

– Tak. I w miłszym towarzystwie niż twoje...

Nie wytrzymał i pochwalił się swoją dziewczyną i jej balkonowym pomysłem.

– Musi być gorąca – pochwalił Zygmunt i nagle się zamyślił. – Kolumb – zaczął wolno – a gdyby tam tak zająć po wasze rzeczy, co?...

– Właśnie o tym myślałem – skłamał Kolumb, czując, jak serce uderzyło w nim mocno. Szykowała się ładna historia.

Na drugi dzień była niedziela. Pływali po Wiśle. Zygmunt zły był nawet trochę na Kolumba, bo chciał powiosłować z dziewczyną do Wilanowa, lecz przyjaciel odmówił mu swego składaka. Był z Basikiem.

Zygmunt nie mógł się nawet obrazić. Przecież poprzedniej nocy, gdy ewakuowali mieszkanie Kolumba, był „przeciw składakowi”.

Już dwie godziny holował na dach rzeczy wynoszone przez przyjaciela, gdy usłyszał z dołu, z balkonu, przedziwny rozkaz:

- A teraz wysyp wszystko z tego wielkiego worka!
- Dosyć już – protestował szeptem Zygmunt. – Wyłaź!
- Dawaj, mówię, to wór od składaka, niedoczekanie, żeby szkopy wzięły mój kajak.

Zygmunt posłusznie opróżnił ogromny wór; przecież Kolumb nawet własny pseudonim wywiódł ze swych żeglarskich namiętności.

A w niedzielę przycumował do brzegu na pięć minut przed godziną policyjną.

## IV

Jerzemu było coraz trudniej. Ostatnie parominutowe spotkanie uliczne z Zygmuntem wracało w pamięci owym – niezłśliwym zapewne – pytaniem: „czy już?”. Nie mógł się pogodzić z myślą, że Zygmunt mógł w ostatecznym rachunku być od niego mądrzejszy. A jednak udział tamtego w konspirze zdawał się gwarantować mu więcej godności niż to.

Niecierpliwie zatrasnął okładkę Nietzschego. Leżał na trawniku niewielkiego ogródka. Poprawił się i wsparłszy głowę na rękach, patrzył niewidzącym wzrokiem na liście żywopłotu oddzielającego go od ulicy. Męczył się. Ambicja nie pozwalała mu rezygnować z filozoficznych uzasadnień swej postawy, a przed sobą widział albo rośliny prywatnego nauczyciela Kosiorowych dzieci, albo chłopczyka stojącego w przeproszającej postawie na baczność wobec starych sztandarów.

W 1938 roku miał wylecieć z gimnazjum za nieoddanie honorów wojskowych sztandarowi hufca przysposobienia wojskowego. Był to dzień jakiegos 3 Maja czy 11 Listopada – zawahał się teraz we wspomnieniach, dopóki nie olśniła jego pamięci wiosenna bluzeczka wzburzonej jego anarchistycznym występkiem Irki na randce tego wieczoru; a więc 3 Maja. Już przed defiladą nauczyciel gimnastyki, odziany tego dnia w

porucznikowski mundur, miał z nim scysję na temat „bakieru”, jak się przejęczył w złości. Chodziło o to, że Jerzy nosił czapkę na lewe ucho, co zdaniem wykładowcy PW było „nieregulaminowe”.

Gdy po defiladzie poczet sztandarowy odprowadzał sztandar, Jerzy nie oddał honorów wojskowych.

– Co tam jest napisane na sztandarze? – pytał porucznik przestępcę na drugi dzień.

– Honor i Ojczyzna, panie poruczniku – brzmiała regulaminowa odpowiedź.

– A po cóż wyhaftowano te napisy?

– Żeby było ładnie – rzucił Jerzy ze swobodą, połykając w ostatniej chwili zwrot, jaki nasuwała mu niedawna lektura, a który mówił o mydleniu oczu klasie wyzyskiwanej.

– Zostawiam cię w gimnazjum z uwagi na zasługi ojca – usłyszał za dwa dni z ust dyrektora.

Ale co tam ojciec miał do powiedzenia chłopakowi, którego dumą było decydować samemu o sobie, a więc wówczas „tylko” o swoich poglądach. Dziwny splot dziejów potwierdził zresztą gesty sztubackiego „nadczołwieczeństwa” zrywającego z ojczyzną. Wrzesień sprawdził boleśnie i, jak się zdawało, ostatecznie pustkę i słabość sztandarowego frazesu. Osiemnastego września ochotnik batalionu zapasowego, rozbitego poprzedniego dnia w pierwszym ogniu niemieckiego natarcia, już po cywilnemu witał radzieckie czołgi. Wystarczyły dwa dni oglądania ukraińskich nacjonalistów, którzy pod pretekstem rządów nowej klasy siedli na polskie karki, by młody człowiek, pogardziwszy wojskiem w nieobrubionych płaszczach i ze słynnymi karabinami na sznurkach, przeszedł na drugą stronę Bugu jako sceptyk wolny od wszelkich złudzeń.

I oto dziś Zygmunt, który był może lepszym od niego łącznikiem w napadzie szkolnej drużyny, ale który rzadko czytywał cokolwiek poza stroną dziennika poświęconą wiadomościom sportowym, miał mieć ze swoją konspiracją więcej powagi i godności?

Roztargniony wyłączył z leżącej przed nim książki kartkę z naszkicowanym wierszem. Może to była jego odpowiedź czasom? Przeczytał niezadowolony, lecz z bijącym sercem.

W latach przedmaturalnych chętnie się tym, że nie napisał ani jednej linijki. W tej jego postawie wobec uprawianej przez wielu kolegów „poezji” był jakiś utajony znak równania do sprawy palenia. Lekceważąc nikotynową modę, doroślał we własnych oczach, to samo osiągał, kpiąc z manii intelektualnych wieku dojrzewania. On, najlepszy w klasie polonista, nie miał tajemnic w kratkowanym brulionie. A może zresztą



i bardziej zuchwała ambicja odbierała mu prawo startu w tej dziedzinie? Niewątpliwa wrażliwość na poezję prowadziła do paradoksalnego zaniechania. Przeczytał – gdzieś przed maturą – *Czarną wiosnę* Słonimskiego; wzruszony do łez, wiedział z pewnością, że pióra nie tknie. Już wówczas był tym chłopakiem, który oto dziś, leżąc nad swoim zmiętym w tej chwili niecierpliwie wierszem, zastanawia się nad kwestią, że właściwie narodowy socjalizm, ubóstwiwszy „wodza”, bynajmniej nie sprzyja nietzscheańskiej „woli mocy”.

Cóż może osiągnąć i czego może pragnąć hitlerowiec? Być nawet ministrem czy zastępcą Führera? Jakie to uwłaczające szczerej ambicji, która musi być absolutna i bez granic. Pogłaskał szczupłymi palcami grzbiet książki niespokojnie i wstydliwie, jakby wygładził znów zmiętą kartkę rękopisu. To było mocniejsze nawet od jego ćwiczonej woli. Któregoś wieczoru wybuchnęło, łamiąc wszystkie narzucone rygory. Może sprawiła to dotychczasowa jego asceza wobec konspiracji, jaką narzucił sobie, buntując się przeciw nowemu dyktatowi obyczajowej przyzwoitości, który nakazywał „służbę” – dość, że posłuchał tej nowej pasji z niezwykłą u niego pokorą.

Ale cóż z tego, że ciężko dyszał, kończąc mazaninę, że ze łzami patrzył przez zabite mrozem szyby nieopalonego pokoju – już wówczas, u początku „pisarstwa”, czuł jego niewypowiedzianą nędzę. Nieraz, siedząc w kuchni przy karbidówce, łokciem zasłaniał nierówne rządkii wiersza przed krzątającą się matką. „Ekonomia” – tłumaczył się zwięźle, zabierając jej kartkę sprzed oczu. Obecnie było lato i uczniowski brulion, w który wpisywał wiersze dopiero na drugi dzień, gdy „wytrzymały próbę czasu”, odslaniał ostatnią czystą kartkę. Czy ma ją zapełnić? Jeszcze raz wyciągnął z tomu Nietzschego pomięty arkusik. Przeczytał. Obejrzał się. A więc do tego już dochodzi? Nie dosyć abdykacji z jednej niezłomnej zasady życiowej, zaraz stowarzysza się z nią druga zdrada. W sztubackiej jeszcze dumie, że on „nie pisze”, tkwiło wiele drwiny z wyrażanych wierszami miłosnych szkolnych adoracji. Zaczął pisać wiersze „poważne”, lecz oto masz! W nowym wierszu siedzą jak byk słowa godne przyłizanego Jaworskiego z drugiej ławki. Czyżby ta dziewczyna naprawdę zrobiła na nim takie wrażenie? Włosy szare jak popiół, chuda, bo przecież nie szczupła – atakował swą tendencję do idealizacji. Wiedział zresztą, że Zygmunt „zrobił” go swoimi protegowanymi od całkiem niespodziewanej strony. Już na drugi dzień, kiedy ona, spotkana w ogrodzie, uśmiechnęła się tak jakoś beznadziejnie, odczuł niepokój.

Spóźnił się do Kosiorków. Podczas lekcji parę razy przystanął u okna, popatrując w kierunku furty, aż czujne rodzeństwo zwolniło obroty

móżdżków pracujących nad tajnikami rachunków. Ale już wieczorem Kosiorek przydał się Jerzemu. Nie było jeszcze szóstej, gdy dzwonek oderwał go od lektury. Był to jeszcze czas, gdy Jerzy czytał łapczywie, jak małe dziecko ssie, jak zwierzak je. Do obiadu przybiegał klusem, gniewał się, że zupa gorąca, chleptał ją gorliwie i po chwili siedział już w swoim pokoju nad książką, tego dnia jednak czytanie pozbawione było smaku. Siedział, nie wiedzieć czemu, nie przy biurku, ale pod oknem i czytało mu się jakoś nieuważnie, pobieżnie. Niespodziewany dzwonek nawet w dzień był czymś nieprzyjemnie elektryzującym. Matka łomotała garnkami w kuchni. Nie słyszy. Jerzy poszedł otworzyć. Nieznajomy, przeprosiwszy, że nie umiał zadzwonić „do pań”, ruszył we wskazane drzwi.

Rzeczywiście, należałoby zaznaczyć, jak do kogo dzwonić, pomyślał Jerzy i zaraz sprostował, że z pewnością one nie życzą sobie, by ich nazwisko wtykać „na afisz”. Spoza zamykanych przez gościa drzwi przedarł się okrzyk radości. Witwały go serdecznie, co chwila upominając się wzajem o zachowanie ciszy. Okropnie skrępowane, aż przykro, pomyślał Jerzy, nie wyobrażając sobie innych motywów powstrzymywania owej radości na widok przybysza.

A ojciec Kolumba – mąż jednej i ojciec drugiej z „lokatorek” – nie mógł się nauczyć skrępowania. Od momentu gdy przedwczorajszego wieczoru syn oddał mu ubranie i bieliznę – rzeczy zabrane z zapieczętowanego mieszkania – stary po pierwszym szoku strachu odczuł jakąś gwałtowną ulgę, jakby mu udowodniono, że z całą grozą okupacji można się bawić w chowanego. Złościł się na syna, że ten odradza mu wizytę u żony i córki, wyśmiewał się z jego przestróg, że ma pamiętać o ich „wdowieństwie” i „sieroctwie”. Posłuchał go, oczywiście, jak zawsze. Nie przytaszczył na razie wielu rzeczy: ot, teczkę wypchaną fatalaszkami. Mimo kpin uznał też rację Kolumba, który twierdził, że nie należy kręcić się z początku zbyt często na nowym miejscu, i po prostu umówił się z matką i siostrą na następny dzień w mieście.

Nawet teraz, śmiejąc się, podniecony i szczęśliwy, często oglądał się na drzwi.

– No, po prostu letnisko, proszę pań – zachwycił się nowym mieszkaniem, nadrabiając miną na myśl, że wkrótce musi się pożegnać. – A tam u nas, w kamienicy, koledzy Stacha mają puścić wiadomość, że mnie chcieli aresztować jako oficera rezerwy – rzucił w pewnej chwili żonie.

– Och, panie, panie! – westchnęła półzartem, nie myśląc, że słowo to utrwali się w ich słowniku jako ostatnie z imion, które sobie nadawali w gorących latach swej bliskości. „Kochany Panie”, miała pisywać doń

kartki. „Pan” stać się miało nazwaniem żartobliwie czułym, którym posługiwać się miała, gdy zatrącała o niego w rozmowie z córką.

Niebezpieczny czas wrócił świeżość uczuć niepewnych trwania. A on, jak zawsze w powszedniej okupacyjnej codzienności, zajęty był dziwnymi sprawami.

– Miałbym fantastyczny interes, pięćset opon, ale jak tu nawiązać kontakty na nowym nazwisku? Skąd wiedzieć, z kim tu można, a z kim nie?... Pięćset opon – martwił się głośno.

Starszy pan przez dwa ostatnie dni mieszkał u Zygmunta. Niezwykle przypadli sobie obaj do gustu. Wzajemna sympatia zmaterializowała się już na drugi dzień w owych pięciuset oponach. W zgodzie z prawami handlu w owym czasie Zygmunt nie tyle zaoferował towar ciężki i niewdzięczny do transportu i ukrycia, ile lotną i nadającą się znakomicie do spieniężenia wiadomość.

Wiadomość ta – choć dotyczyła przedmiotów spoczywających spokojnie gdzieś aż w magazynach w pobliżu Fortu Bema – miała zrobić z miejsca tu, na dolnym Mokotowie, zawrotną karierę. Oto z okazji odprowadzania gościa do furki napotkano matkę Jerzego. „Pan Gołębiowski” został zaprezentowany gospodyni lokalu, i tak w rozmowie na ogrodowej ławce wypłynęła raz jeszcze sprawa opon. Nie darmo ojciec Stacha twierdził, że dobre interesy obecnie, kiedy towar bez mała zdematerializował się, polegają na inteligentnym prowadzeniu rozmowy.

Oto matka zawołała Jerzego. Chłopak wyszedł jakiś nieuprzejmy, aż na widok zmieszanego spojrzenia Aliny – tak już po imieniu nazywał ją w myślach – dałby sobie sam w nachmurzoną głębę. Na prośbę matki, by zaszedł do pana Kosiorka z wiadomością o oponach, nie pytając o szczegóły, wyszedł na ulicę.

Kosiorek był u siebie.

– Pięćset – zastanowił się na moment ze ściągniętymi brwiami. – Ile? – zapytał zaraz.

– No, pięćset – zniecierpliwiał się Jerzy.

– Ile ma kosztować? – powtórzył z pobłażliwym uśmiechem Kosiorek. Jerzy nie wiedział. Nie miał ochoty wyglądać na nierozgarniętego głupka. Wzruszył ramionami.

– Nie zajmuję się pośrednictwem – palnął. – Skoro rzecz jest interesująca, zaraz skontaktuję pana z kimś, kto sprawę załatwia...

Po półgodzinie „pan Gołębiowski” powrócił. Od progu wylewnie podziękował za umożliwienie mu znajomości z panem Kosiorkiem i przeprosił za natręctwo, raz jeszcze zaszedł do pań. Radosny gwar zza drzwi świadczył o dokonaniu transakcji.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

**Pełna wersja książki** do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiążka.pl](http://taniaksiążka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).